№ 37. Warszawa, dnia 3 (15) Września 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty bieżącego roku. Pod ryciną tytułową w każdym numerze znajdują się warunki prenumeraty.

Na **Przyjaciela Dzieci** *prenumerata wynosi:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści” oraz „Przyjaciela Dzieci”, w Warszawie ulica Chmielna Nr 26.

POETKI CZESKIE.

SKREŚLIŁ

Zenon Przesmycki.

Szkoła romantyczna: Studniczkowa, Mühlsteinowa, Dworzakowa-Mraczkowa, Irma Geisslowa.

Szkoła patryotyczna w poezyi czeskiej, stojąca na czysto narodowym gruncie, panowała wyłącznie prawie do połowy bieżącego stulecia. Mówimy prawie, bo już w trzeciem i w czwartem dziesięcioleciu tego wieku widzimy obok zwartej falangi poetów wlastenców (patryotów), nielicznych zwolenników romantyzmu zachodnio-europejskiego. A więc Karol Hynek Macha (1810 — 1836), początkowo wielbiciel i naśladowca Walter-Skotta, porzuca zupełnie temata narodowe i hołdując bezwzględnie kierunkowi Byronowskiemu, pisze liro-epiczny poemacik „Maj”, który daje mu prawo na nazwę pierwszego romantyka czeskiego. Równie kosmopolityczny, refleksyjno-romantyczny charakter noszą liryki Karola Sabiny (1814 — 1877), zwłaszcza drukowane po roku 1840.

Atoli dwaj ci pieśniarze byli do roku 1850 jedynymi wyobrazicielami kierunku obcego w poezyi czeskiej.

Krytyka spółczesna sądziła ich nader surowo i w swoim czasie zupełnie byli zapomniani. Nie na długo wszakże. Szkoła poetycka o czysto patryotycznym, wyłączającym wszystkie inne myśli i uczucia kierunku, nie mogła trwać długo. Był to rzeczywiście zakres nazbyt ograniczony i poezya wlastenecka zwolna do upadku chylić się poczęła. Jednym z pierwszych tego powodów, była śmierć najznakomitszych jej przedstawicieli. Naprzód, stary wódz Jungmann (1847), a za nim cały szereg jego rówieśników i następców, jak: Kollar, Czelakowski, Turinski, Rubesz, Koubek i Tyl, w grób się pokładli. To już sprawiło w szeregach poetów narodowców pewne zamieszanie. Przytem zapał i uznanie ogółu dla poezyi patryotycznej zwolna ochłodły. Powodem tego była pewna banalność, która wyrodziła się w skutek ciągłego powtarzania tegoż samego, oraz niesmaczny, rozpłakany sentymentalizm, który zwłaszcza u Tyla do ostatecznych doszedł granic. Poczęto śmiać się potrochu z narodowców. Na dobitek ruch 1848 i 1849 roku wywołał repressyę ze strony rządu; każde patryotyczniejsze odezwanie się karano i tłumiono jak najtroskliwiej. Na tak przygotowany grunt, padło ziarno Byronowskiego romantyzmu, przyjęło się natychmiast i wspanialsze, niż oczekiwać było można, wydało owoce. Młodzi poeci z zapałem rzucili się na tę nową drogę wielkich, ogólno-ludzkich idei, głębokich refleksyi i nadzmysłowych zjawisk, i oto powstała nowa

szkoła w poezyi czeskiej, szkoła romantyczna, szkoła poezyi dla poezyi, a nie dla celów wyłącznie patryotycznych, jak było dotąd. Cały szereg almanachów poetycznych (Lada Niola w roku 1856, Maj roku 1858 i następnych) zamanifestował ten zwrot ku nowym ideałom. Całe grono znakomitych poetyckich talentów zapewniło mu powodzenie. W żywym ruchu tym uczestniczyły i kobiety. Wydający almanach młodzi poeci pociągnęli za sobą i młodzież kobiecą. Jak w pierwszym atoli okresie, tak i tu, mały w stosunku do ilości mężczyzn procent kobiet poświęcił się poezyi. Wiele było dyletantek, wiele poetek sentymentalnej miłości, rzadko jednak z pod strychulca pospolitości wychylił głowę jaki wyższy talent, a wychyliwszy mięk często po pierwszych, choćby dość szczęśliwych próbach. Pięć tylko poetek zyskało większy rozgłos przez wydanie osobnych tomików poezyi, w których talent ich lepiej mógł się ujawnić: Dworzakowa-Mraczkowa, Mühlsteinowa, Studniczkowa, Geisslowa i Krasnohorska. Z tych znowu dwie tylko ostatnie od dziś oddają się poezyi; Mühlsteinowa przeniosła się na pole nowelistyki, Studniczkowa poświęciła się literaturze dziecinnej, ogłaszając także od czasu do czasu nowele i powiastki; pozostałe zniknęły z widnokręgu, bądź przez śmierć, bądź też porzuciwszy zajęcia literackie.

Wszystkie wymienione poetki, z wyjątkiem Krasnohorskiej, której działalność autorska szerszy obejmuje zakres, uprawiały wyłącznie lirykę. Utwory poetyckie trzech pierwszych charakteryzuje znakomita przewaga pierwiastku subjektywnego; każdy wiersz prawie jest wyrazem jakiegoś wewnętrznego usposobienia, lub wspomnieniem jakiegoś faktu z życia autorki. Zwłaszcza miłość ważną u nich odgrywa rolę, tak, że możnaby prawie odtworzyć z utworów autorki rzeczywiste dzieje jej serca, gdyby nie pewna mgła romantycznego sentymentalizmu przysłaniająca kontury i nie dozwalająca rozróżnić, co było prawdą, a co urojeniem. Najwyżej z nich postawilibyśmy Dworzakową-Mraczkową; większą podniosłością i refleksyjnością swoich poezyi zbliża się ona do Krasnohorskiej, która wyzwoliwszy się z więzów skrajnego romantyzmu i naśladownictwa, rozwinęła skrzydła do szerszych lotów i trwalej zapisała swe imię w dziejach poezyi czeskiej. Ale trzymajmy się kolei.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WESTCHNIENIE.

K. Kisfaludyego.

Z węgierskiego przełożył A. L.

Gdybym u ramion miał skrzydła,
Uleciałbym w snów kraj czysty,
Gdzie ptasząt chóry śpiewają,
Gdzie strumyk szemrze srebrzysty.
Tam słodki uścisk mej lubej,
Żar by w mej piersi rozżarzył,
I w snów przecudnych krainie,
Cudniejsze pieśni bym marzył.

Tam w gajów cieniu wieczornym,
We dwoje będziemy sami
Pewni, że nikt nas nie śledzi,
Zazdrościwemi oczami.
Tam o miłości mej skarbach,
O świętej łasce natchnienia,
Tam marzyć będę z rozkoszą,
Żem spełnił kielich cierpienia.

Niech mroźne wichry powieją,
Ja nie zatęsknię po wiośnie,
Czary mi świat uśnieżony,
Kwieciem umaja radośnie.
Niebiosów obraz przeczystych,
W błękitach oczu jej świta;
Na ust jej słodkich nektarach,
Róża i lilia wykwita.

Na licach jej lśnią promienie
Wiosennych słońca szkarłatów;
W czystym oddechu mej lubej,
Woń najcudniejszych drży kwiatów.
Łezką pociesza me serce,
Kojąc mój ból tajemniczy;
Duszy jej blask na mnie spływa,
Darząc tysiącem słodyczy.

Tam czułbym radość i szczęście,
Tam piłbym jego dowoli,
Ah! młodość mknie tam tak szybko,
Jak mara o złotej doli!
O lube, drogie widziadła,
Gdybym was orlim mógł lotem
Doścignąć, wnet bym poleciał!
Dokąd? Ja tylko wiem o tem.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

— Dziwne wydaje mi się zawsze milczenie — odezwał się Witalis — przez jakie chcemy wyrazić, że nie ma w smutku rzeczywiście ukojenia. Sam nie wiem, co o tem sądzić. Życie było dla mnie zawsze tak hojnem w obsypywaniu względami, może niezasłużenie, niemniej przeto obficie, że słysząc czyjąś skargę, radbym serdecznie dopomódz, lecz pocieszyć nie umiem. Nie znam prawie postaci, w jakiej się wyobraża zmartwienie takie jak pani, niepocieszone. Osobiste nieszczęścia nie zabolały mnie nigdy, bo nie doznawałem ich. Pojmuję liczne braki społeczeństwa, odczuwam razy zadawane moim współczesnym ręką niesprawiedliwości, ubóstwa, zemsty, zawiści, wiem, że w obecnym ustroju ludzkości jest tysiąc przyczyn do niezadowolenia, ale wiem także, że z drugiej strony leży drugi tysiąc znakomitych rezultatów, odniesionych na polach nauki, wynalazków, rozmaitych ulepszeń, komunikacyi i odkryć poczynionych w każdej dziedzinie, gdziekolwiek myśl i wzrok zapuszcza swoją sondę.

— Wspomniał pan o tysiącznych przyczynach niezadowolenia. Jak to rozumieć?

Zadałam powyższe pytanie umyślnie, aby zmuszony odpowiadać mi wprost patrzył, a nie w szybę balkonu. Jakoż ziściły się moje życzenia. Witalis patrzył na mnie.

— Tak, panno Anno, przy ciągłych okazyach stykania się różnorodnych klas ludności, wyradzają się także różnorodne chęci, namiętności, starcia, interesa, których zadość uczynienie pociąga za sobą utratę spokoju, dobrobytu jednych na korzyść drugich. Nigdy ludzie nie odznaczali się większem roznamiętnieniem do bogactwa, do przepychu, wogóle do wielkości, jak obecnie. A dlaczego? Oto droga postępu zbliżyła warstwy społeczne, będące niegdyś w zupełnem od siebie oddaleniu. Biedni ocierają się o zamożnych, których przewaga pieniężna rzuca im ciągle w oczy nowe blaski, rozniecające chciwość. Więc powstaje masa kradzieży, zabójstw, fałszerstw. Częściej przeważa także siła niż zasługa, z czego znów gromadzi się wiele smutnych faktów. Sumienna praca nie przynosi zawsze zasłużonych owoców, natomiast podstęp staje niekiedy w zdumiewającem powodzeniu. To właśnie i mnóstwo innych przyczyn składają się na sporą dozę niezadowolenia, ale nie pora o tem mówić. Posłuchajmy śpiewu. Niektóre z osób patrzą ze zgorszeniem na nas, jako rozmawiających. Rzeczywiście może to i profanacya ze względu na artystkę.

— O! — zawołałam żywo — nad głos artystki wolę...

Tu zatrzymałam się zmieszana.

— Co pani woli?

— Wolę prowadzić poważne rozmowy. Otwierają mi one wejście w krainy myśli, jakiemi dotąd nie zajmował się mój umysł. Może to się panu wyda nienaturalnem, niemniej wiedz pan, że nie znam nikogo, którzyby mi mówił tak przystępnie o sprawach społecznych, bieżących, nieskończenie ważnych...

Witalis patrzył na mnie z przyjaznym uśmiechem, a ja nie miałam siły oderwać wzroku od jego twarzy.

— Na koncercie będę nieraz... niewiedząc sama co mówię.

— Panno Anno, ponieważ pani tak szczerze do mnie się odzywa, więc muszę się także wywzajemnić, pięknem za nadobne i również pani powiem, że nie znałem jeszcze osoby, któraby zwracała się do mnie z taką bezwględną ufnością w wyznawaniu swych myśli, jak właśnie pani do mnie. Nie rozumiem czém sobie zasługuję na to. Pani chce mnie wykształcić na zarozumialca. Nie wiem tylko czy będę mógł wywdzięczyć się dostatecznie za tyle łaski.

— Pan żartuje — szepnęłam, czując już dławienie w gardle — cóż panu zależy na względach jakiejś wiochny, panu, dziecku szczęścia, wyjątkowemu człowiekowi, nieznającemu prawie żadnej przykrości. Może jeszcze nie obok jednej mnie podobnej przejdzie pan obojętnie.

W tej chwili grzmot oklasków zagłuszył rozmowę. Nastąpiło ogólne zamieszanie. Przed nami zjawiła się znów Hortensya.

— Nusiu, miałaś podobno gościa? Któż to taki?

— Powiadam ci Horciu, osobistość antypatyczna. Młodzieniec protegowany przez mamę, ale z całego serca nienawidzony przezemnie.

— A! domyślam się; może to jaki gatunek konkurenta. Cóż tak się skrzywiłaś?

— Jeśli chcesz, jak przystoi na kuzynkę, wiedzieć prawdę to ci powiem, że mama chętnie nazwałaby go swym zięciem...

Fala napływającej z głównego salonu publiczności rozdzieliła nas. Zostałam sama z Witalisem.

— Kiedy mama nazwałaby go chętnie swym zięciem, to może pani zwalczy antypatyę?

— O! nigdy — zawołałam żywo.

— Ten pan nie odpowiada ideałowi pani?

— Mój ideał, to ktoś piękny, bardzo piękny, ktoś rozumny i miły, łagodny, a wywierający wpływ potężny.

— Czy on znany już z rzeczywistości, czy też tylko z marzenia.

— Znany mi w rzeczywistości!...

Te kilka słów wypadły mi z ust tak niespodziewanie, tak prędko i mimowoli, że zadrżałam usłyszawszy brzmienie własnego głosu.

— Zaciekawia mnie pani, panno Anno, lecz dyskretność nie pozwala pytać.

Dano hasło do kolacyi. Przeciągające niezliczone pary, przysunęły mnie do Witalisa.

— Panno Anno — zapytał tenże najłagodniejszym głosem — co pani takiego? Drżysz cała i chwiejesz się? Panno Anno!

Pochylił się troskliwie, a mnie, serce się wyrywało na dźwięk tego głosu. Robiło mi się słabo.

— Niedobrze tu... — zdołałam wyszeptać — zagorąco... potrzebuję świeżego powietrza. Zostaw mnie pan.

Spojrzał na mnie tak, jak nigdy jeszcze. Badawczo, przeszywająco. Czy oczy moje zdradziły to, czego usta nie wypowiedziały? Nie wiem. Witalis pochylił głowę i dobitnie, wyraźnie, ceremonialnie wyrzekł:

— Jestem posłuszny.

Bezprzytomna prawie, pobiegłam do gabinetu wuja, otworzyłam okno i przyciskając ręce do skroni, wychyliłam się cała.

— Litości! litości! Witalisie — szepnęłam namiętnie sama do siebie.

Choć uśmiechu, choć słowa, choć spojrzenia jednego, ale nie etykietalnie, nie zimno, nie tak, jak przed chwilą było wyrzeczone.

— Jestem posłuszny.

— A! tuś mi rybko. Ależ dziewczyno, zmiłuj się jak można otwierać okno w mróz trzaskający. Nic łatwiejszego nad zaziębienie. Wiesz, koncert udał się znakomicie. Dla biednych studentów dobra gratka, ale à propos koncertu, pójdź kochanie na kolacyę. Zobaczysz, będą pyszne rzeczy.

Tak po swojemu, prędko, coraz prędzej mówił baron, wszedłszy do gabinetu.

— Wujciu, nie gniewaj się na mnie za napędzenie ci mroźnego powietrza. Mnie tak duszno było.

— Wiem, wiem; młodość, serce gorące, a dziś u nas chłopców, jak nabił. No, no — kończył uderzając mnie zlekka po ramieniu — może być, że cię wyswatamy w tym karnawale. Tymczasem chodźmy.

W drodze do stołu, w cieplarni, gdzie niedawno rozmawiałam z Witalisem, na posadzce leżał bukiecik niezapominajek, ofiarowany przezemnie. Nie dbał o nie, więc zgubił, pomyślałam z goryczą. Wieleż to podobnych kwiatów ginie pod stopami ludzkiemi, bez żalu, bez jednej łzy... Wieleż uczuć blednie i traci swą siłę na podobieństwo listków więdnącej niezapominajki. Ileż na tym świecie zapomnianych wieńców myśli, pereł serca, które rzucone w pierś zimną skamieniały odrazu.

Przy kolacyi rozstawionej na kilku stołach, widziałam Witalisa już razem z Hortensyą. Rzeczywiście, było w ich obejściu coś co zwracało uwagę. Jakaś słodycz i ciepło biło od ich postaci. Trudno mi było nierozumiéć tego, lecz trudniej jeszcze przestać myśléć o tem, co wplotło się w dni naszego istnienia. Wolimy żyć w fałszu, jeśli ten fałsz sprawia nam przyjemność, odwracamy się od prawdy, jeśli razi oczy niemiłą rzeczywistością. Niechby wreszcie Witalis kochał Hortensyę, lecz niechby też i o mnie pamiętał. W bezmiernym wpływie szału, upadałam coraz niżej. Nie widząc możności rywalizowania z Hortensyą, pragnęłam chociaż okruszyn, odpadków z dłoni Witalisa, z jego skarbu, jaki zamykała miłość. Wymagałam tego, czego nie wymaga szlachetna kobieta od równie szlachetnego mężczyzny, to jest podziału serca. Stan mój przechodził w pasyę najgwałtowniejszą, bezmyślną, bezrozumną.

Kilka razy uczułam na sobie wzrok Witalisa, kilka razy spotkał się z mym wzrokiem gorejącym. On wie, że ty go kochasz, szeptało mi przeczucie. Poznał to w tej sekundzie, gdy zadrżałaś za dotknięciem jego ramienia. On wie, że rozbudził twe serce kilkoma cieplejszemi słowy, ale teraz cóż z niem ma uczynić?

Niech się chociaż bawi, niech igra ze mną, mówiło znów serce. Ah! oznajmić mu, przekonać go, że żadne inne nie będzie więcej kochało nademnie. Ah! ta Hortensya, ta Hortensya. Gdzież tam mnie wiejskiej dziewczynie, ubogiej szlachciance, równać się z nią?

Kolacya przeszła wesoło. Strzelanie korków przyczyniło się niemało do wyśmienitych humorów. Słodki a mocny szampan rozgrzał mnie jeszcze więcej. Po dwugodzinnem posiedzeniu przy stole, goście rozdzieleni na grupy odbywali przechadzkę po salonach. Błogie zadowolenie malowało się na twarzach wszystkich. Nietylko bowiem śpiew artystki wpłynął tak czarująco. Sute, nad programowe przyjęcie, możność stąpania na posadzkach domu baronostwa, składało się na ogólną sumę uciechy. Tak ciotka jak wuj jednakowo grzeczni, rozmowni, zabawiali towarzystwo najumiejętniej. Niektórzy mieli z pewnością za szczęście przyjrzéć się zblizka tym, którzy dotąd mignęli się im z okien karety, lub z loży teatru.

Hortensyę i Witalisa straciłam z oczu, a sama oddalona w najustronniejszy kącik ostatniego salonu, rzuciłam się na darniową ławeczkę zaimprowizowaną z zielonego kobierca. Myśli bezładnie krążyły po głowie, jakieś zniechęcenie, jakiś dziwny, bo z niewiadomego źródła płynący żal, przejął mnie. Nie wiem jak długo siedziałam tak, gdy nagle ręce moje splecione nad głową opadły, serce zakołatało, jakby tknięte złowróżbnem przeczuciem. Przedemną stał Witalis promieniejący, piękniejszy niż kiedykolwiek.

— Co się stało? — zapytałam mimowoli.

— Przychodzę najpierw do pani, aby podzielić się z nią szczęściem... Tymczasowo musi ono zostać jeszcze w tajemnicy... Ufam pani, więc powierzam jej.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Wskazówki umiejętnego ubierania się.

Zebrała i własnemi spostrzeżeniami uzupełniła

Doświadczona Warszawianka

M. Niemitra.

(Dalszy ciąg.)

V. Zastosowanie barw do cery.

Największe błędy bywają popełniane w tualecie, przy doborze barw, dla których istnieje estetyczne prawo, nauka o harmonii barw.

Jądro ich znajduje się w doświadczeniu oka naszego, że niektóre kolory, postawione obok siebie, sprawiają nieprzyjemne wrażenie; brak im barw dopełniających, przez co nieharmonijnie działają. Barw tych dopełniających należy nam zapożyczyć od tęczy, są one: niebieski z oranżowym, czerwony z zielonym, fijołkowy z żółtym; sąsiedztwo ich wywołuje przyjemny, harmonijny skutek w tualecie i powinno czytelniczkom służyć, jako estetyczne prawo, jako norma, których nie powinny nigdy zapominać.

Kolory kapelusza i sukni mają dwojakie zadanie: podnoszenia, uwydatniania cery, jeżeli jest matową i łagodzenia takowej, jeżeli jest zbyt jaskrawą.

A zatem: ciemnowłose kobiety o cerze barwy słoniowej kości i bronzu, muszą używać pełnych, mocno działających kolorów, żółtych, żółto-czerwonych i czerwonych. Blondynki zaś, którym brak ciemno nakreślonych brwi i ciemnych rzęsów, nie powinny ubierać się w jaskrawe kolory jak: feu, ponse, terracotta, albo orange; łagodna cera ich uwydatnia się doskonale w olive, granatowym i czarnym.

Brunetkom o cerze matowej wybornie w kolorach: hawanna, caffée au lait i mastique. Kolory fijołkowy i heliotropowy bardzo są stosowne dla brunetek o świeżej cerze; płowym blondynkom o cerze matowej dobrze jest w popielatym kolorze.

Śnieżno-białego koloru brunetki nie powinny nigdy używać, lecz tylko crême; wszystkie koronki przy tualecie ich należy trzymać w tym odcieniu, gdyż nieraz najładniejszy i najgustowniejszy strój jest bez efektu przez brak tej drobnej pomocy.

Czarna wualka, albo czarna tualeta wybornie ubierają płową blondynkę, a kapelusik z cremowej koronki wybornie stroi brunetkę; fijołkowe kolory bez dopełniającego białego, albo czarnego działają niekorzystnie, tak samo jak brązowy i różowy. I dlatego też uważam modne obecnie czerwone i brązowe (maron) wualki za niefortunny wybór, gdyż każdą cerę przyciemniają; przeciwnie niebieskie, białe i srebrno-szare wualki rzucają na twarz jasne, słoneczne światło.

Czarny kolor, jako bezbarwny, jest stosowny do każdej tualety i nie wyraża nic. Jest to kolor naszego czasu i towarzystwa, które we wstrzemięźliwości upatruje pierwsze wymagania dobrego tonu.

Jaskrawe kolory, któremi zachwycają się pro

stacy i dzieci, na ludziach wykształconych sprawiają odrażające wrażenie.

Barwa o czem nie powinniśmy nigdy zapominać jest nietylko, jak powiada pewien hiszpański poeta „duszą kwiatów”, lecz także duszą każdej gustownej tualety.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Ale sir James nie brał tego wszystkiego do serca i ze zwykłym sobie chłodem odpowiadał:

— To Dianna nabyła yacht i cieszy się niesłychanie na samą myśl, że przepłynie na własnym statku morze Śródziemne... Zresztą upewniam pana, że statek jest ładny i mocny i że najmniejsze nie grozi mu niebezpieczeństwo.

— Grat, powiadam państwu, że to grat!—mruczał gniewnie Lereboulley.—Pamiętajcie, że wszyscy pójdziecie na dno morza... ja tam nie mam chęci płynąć razem z wami na takim gracie!

— Ależ to doskonały statek — upewniał sir James — i można będzie jeszcze zarobić na nim odprzedając go później.

Lereboulley aż podskoczył na krześle.

— Zarobić! — zawołał — śliczny mi interes, nibyto łatwo sprzedać statek, który kosztował czterykroć sto tysięcy franków. Czy pan pojmujesz co to jest czterykroć sto tysięcy franków! Łatwo to wymówić ale nie tak łatwo zapłacić!...

— Wszak uprzedziłem pana kiedy ma być wniesiona pierwsza rata...

— Jesteś pan doprawdy nieporównany! — wymówił stłumionym od gniewu głosem Lereboulley.

Sir James zniecierpliwiony przysunął się do senatora z tak groźnym wyrazem twarzy, że Lereboulley uspokoił się nagle i mrucząc tylko niezrozumiałe jakieś słowa, nie odważył się już ganić głośno Anglika, który taką niepojętą przejmował go obawą.

Nareszcie Dianna z najpowabniejszym na ustach uśmiechem oświadczyła, że kupno statku i projekt morskiej podróży podoba jej się bardzo a zdanie jej rozstrzygało nieodwołalnie wszystkie choćby najgwałtowniejsze sprzeczki między sir James a Lereboulleyem.

W kilka dni później yacht oczekiwał już w Hawrze, w istocie był to ładny statek, urządzony zbytkownie i Dianna oczarowana nabytkiem o niczem nie mówiła tylko o podróży po morzu Śródziemnem; senator zaś korzystając z tak dobrej okazyi zabierał się z nimi do Smyrny.

Lereboulley w duchu cieszył się ze sposobności przepędzenia kilku tygodni z panią swoich uczuć i wynagrodzenia sobie tym sposobem straty pieniężnej. Podróż więc miała być rodzajem przyjemnej rozrywki, Lereboulley martwił się w duchu tylko tem, że zawiele mówiono o tej wyprawie a ze względu na stanowisko Dianny baczył zawsze na zachowanie pozorów. Ale Emilia, która nie krępowała się nigdy, gdy chodziło o piękną Angielkę, odzywała się o tej podróży z tak żartobliwą złośliwością, że wieść o niej rozeszła się między wszystkiemi znajomemi senatora.

Pewnego dnia na zebraniu u pana Lereboulley, gdy ktoś zapytał w jakim porcie na morzu Śródziemnem zatrzyma się najdłużej yacht pani Olifaunt, Emilia odezwała się chłodno:

— Alboż nazwa tego portu nie jest dawno już wiadomą wszystkim?

— No i jakże się nazywa? — spytano ciekawie.

— Cytera! — odparła bez wahania Emilia.

Lereboulley który kochał i zarazem obawiał się córki, nie śmiał zganić jej złośliwości chociaż żarty jej były dla niego niewysłowioną męką. Gdyby Emilia przestała napastować Diannę, senator dałby jej był wszystko coby tylko zażądała. Ale biedna upośledzona istota czuła tajemną rozkosz w dokuczaniu i docinkach, jakiemi kłuła piękną kobietę, dla której jej ojciec garściami wyrzucał pieniądze.

Ciągłe sprzeczki znudziły Lereboulleya a rezultatem tej małej domowej wojny było przyśpieszenie wyjazdu i pewnego pięknego poranku Helena dowiedziała się, że Lereboulley płynął już po błękitnych falach morza Śródziemnego a razem z nim i Thauziat.

Od tej chwili stała się spokojniejszą i zajaśniała dopiero w całym blasku piękności i szczęścia. Zazwyczaj, gdy kobieta jaka zwraca na siebie uwagę w salonie, wszystkie inne kobiety uczuwają natychmiastową do niej niechęć i zabójcze rzucają jej spojrzenia; lecz Helena stanowiła i pod tym względem wyjątek i będąc podziwianą przez mężczyzn, nie naraziła się na nienawiść kobiet. Podobała się ogólnie wszystkim, każdy jednak rozumiał, że jest zbyt rozsądną na to, aby miała nadużyć swej władzy. Dlatego też wszyscy okazywali się pobłażliwemi dla niej. W postępowaniu jej nie było żadnego wyrachowania, była tylko sama sobą a naturalność i swoboda jej obejścia najwięcej dodawały jej wdzięku.

Helenę nie nęciły hołdy i uwielbienia świata, jedynem jej marzeniem, jedyną żądzą było ściślejszemi węzłami przywiązać do siebie męża. Z zazdrosną troskliwością starała się potęgować jego miłość lecz dochodziła do tego dziwnego rezultatu, że sama coraz silniej kochała Ludwika nie podniecając ani odrobinę jego uczucia. Zastawiła sidła i sama się w nie uwikłała, świat cały znikł jej z oczu i zjednoczył się w jednej osobie, którą pokochała aż do ubóstwienia. Nie można powiedzieć żeby Ludwik nie był w niej rozkochany, lecz stawał się czulszym wtedy tylko, gdy jego mężowska duma mile połechtaną bywała pochwałami, jakiemi wszyscy obsypywali Helenę.

Wypadek łatwy do przewidzenia, zmusił wreszcie młodą kobietę do chwilowego usunięcia się od świata i zaniechania zabaw i rozrywek. Helena miała wkrótce zostać matką i babcia nie posiadała się z radości; Ludwik patrząc na szczęście żony i zadowolenie sędziwej pani Hérault, cieszył się na równi z niemi. Wprawdzie nie bardzo lubił małe dzieci, ale na myśl, że Bóg ześle mu dziecię własne, nadewszystko chłopca, jakaś nieznana, uśpiona dotąd struna drgała w jego sercu. Nie szczędził żonie najczulszych dowodów przywiązania a skoro nie mogła już ukazywać się w towarzystwach, wszystkie wieczory spędzał obok niej.

Życie zatem w pałacyku Hérault płynęło teraz tak rozkosznie, jak w pierwszych chwilach poznania Heleny, gdy urok dziewczęcia przykuwał Ludwika do domu a wieczory zdawały mu się krótkiemi jak mgnienie oka i gdy babcia podnosząc się z kanapy o północy, mówiła, że czas już udać się na spoczynek, Ludwik wołał zazwyczaj: „Już”.

Teraz nie okazywał takiego zapału, niemniej jednak poczytywać mu można za zasługę, że przesiadywał w domu. Po dniu spędzonym w fabryce w Saint-Dénis mógł zapragnąć innej przyjemności niż towarzystwo babci i żony. Nie uskarżał się jednak na swój los i kiedy Helena mówiła mu:

— Nudzisz się; idź do teatru, grają dziś nową sztukę.

— O! sztukę długo jeszcze grać będą — odpowiadał Ludwik — pójdziemy na nią oboje.

Wtedy żona przytulała się do niego a gładząc białą rączką jego śliczne płowe włosy, spoglądała czule w jego błękitne oczy, które uśmiechały się do niej swobodą i weselem i gorącym uściskiem dziękowała mu za szczęśliwą miłość. A jak się starała żeby się nie nudził; obdarzona z natury bystrością umysłu i wykształcona gruntownie, Helena czytała bardzo wiele i rozmowa z nią mogła zadowolnić człowieka najbardziej pod tym względem wymagającego. Nic więc dziwnego, że potrafiła zająć leniwy umysł Ludwika, który podziwiał szeroki zakres jej wiadomości i był jej wdzięcznym za trud, jaki sobie zadawała, aby go rozerwać. Wiele razy Helena mówiła o wypadkach w świecie lub sławnych uczonych o których Ludwik nigdy może nie słyszał, tyle razy nabierał coraz wyższego wyobrażenia o rozumie żony i począł jej się radzić we wszystkiem, nawet w kwestyach dotyczących interesów. Z tego powodu Helena mawiała nieraz żartobliwie:

— Gdyby mnie był znał twój dziadek, z pewnością dałby mi jaką posadę w swojem biurze... I dobrzeby zrobił, gdyż miałby we mnie doskonałego rachmistrza...

Korzystając z zaufania męża, obznajmiała się zwolna z gałęzią przemysłu w jakiej on pracował i z przebiegiem interesów. Wkrótce doszła do przekonania, że prowadząc fabryki w Saint-Dénis nietylko trzeba było zwracać uwagę na produkcyę wysyłanych przedmiotów, ale na kurs pieniędzy, w miarę bowiem spadania lub podnoszenia się wartości papierów publicznych i wartość miedzi bywała większą lub mniejszą. Należało zatem gromadzić zapasy materyałów wtedy, gdy były tańsze i budować różne przyrządy, które sprzedawały się drogo.

Od kilku lat obfitość miedzi była ogromna i producenci rud kruszczowych nie otrzymywali tak wielkich zysków jak poprzednio, tem bardziej, gdy różne narody na kuli ziemskiej zaczęły budować armaty nie ze spiżu lecz ze stali. Zresztą odkryto nowe kopalnie i Hiszpania mianowicie traciła wiele na obniżeniu wartości metali. Na szczęście Lereboulley otrzymał dla fabryki ważne zamówienie na dostawę rurek do kartaczy wojennych i oprócz tego zdawało się, że dojdzie do skutku owo projektowane przeprowadzenie liny między Brest i Panama.

Jednakże Helenę dręczył niepokój, dostrzegła bowiem w mężu pewną skłonność do spekulacyi, Ludwik marzył o rozmaitych powikłanych kombinacyach, za pomocą których mógłby pomnożyć majątek, o kupowaniu i odprzedawaniu surowego

metalu, zamiast zająć się udoskonaleniem fabrykacyi, która podniosłaby jego zakłady wyżej od innych istniejących w kraju. Helena usiłowała go zachęcić do tego współzawodnictwa, podniecała jego zapał, starając się zwyciężyć wrodzoną ociężałość Ludwika i obudzić w nim zamiłowanie do pracy, do której od dzieciństwa czuł wstręt niepohamowany. Rozumiała ona dobrze ile kosztowało męża to naginanie się do obowiązkowego zajęcia, to też z macierzyńską niemal czułością litowała się nad nim, chwaląc jego męztwo z jakiem trwał w dobrych postanowieniach. Ale praca była zbawieniem dla Ludwika, Emilia powtarzała to często przyjaciółce i Helena rozumiała to dobrze i bez jej przestróg.

Sędziwa pani Hérault, która widziała wnuka zapalającego się z łatwością tylko do szaleństw i niedorzeczności, podziwiała wpływ jaki nad nim uzyskała Helena i gotowa była uważać go prawie za cud. Wkrótce dopełniła się miara jej szczęścia gdy pewnego pięknego wieczora około jedenastej przed północą ujrzała małego prawnuka, którego przybycia wszyscy z upragnieniem wyglądali. Ludwik po raz drugi w życiu płakał z radości.

Babcia patrzała z zachwytem, gdy mały spadkobierca imienia Hérault, jak prawdziwy mężczyzna pił ze szklanki lekki odwar pomarańczowego kwiatu, a Ludwik siadłszy u wezgłowia żony, skoro tylko ta ostatnia odzyskała przytomność, trzymając dłoń jej, spędził jedną z najrozkoszniejszych godzin w życiu. Helena blada lecz uśmiechnięta, spoczywała wśród kosztownych koronek, wzrokiem tonąc w oczach męża. Nie przemówiła jeszcze ani słowa, z jej twarzy jednak promieniała radosna duma macierzyństwa. Ludwik życzył sobie syna, dała mu go, żądając w zamian tylko rozsądku, któryby zapewnił szczęście ich obojga.

— Czy jesteś zadowolony? — szepnęła wreszcie.

— Tak — odparł z akcentem serdecznej czułości.

— Musisz być teraz podwójnie rozsądnym i dobrym, dla mnie i dla niego — dodała jeszcze żona.

Ludwik nic nie odpowiedział, lecz pochyliwszy się ku niej, złożył na jej czole pocałunek, który wart był więcej niż wszystkie przysięgi.

Nazajutrz nastąpiła walna narada ze sławnym doktorem Rameau de Ferrieres, który pielęgnował chorą, w celu dowiedzenia się czy pani Hérault może karmić swoje dziecię? Młoda kobieta gorąco tego pragnęła, a babcia która też niegdyś wykarmiła swego syna, pochwalała jej zamiar. Jeden tylko Ludwik był przeciwny życzeniu żony i trzeba przyznać, że jak w tym razie on jeden miał tylko słuszność. Doktor Rameau zapytany o zdanie oświadczył, że pani Hérault doskonale może wykarmić syna.

— Będzie z pani doskonała karmicielka—dodał żartobliwie zwracając się do młodej matki. Co zaś do tego czy pani powinna karmić, to już nie moja rzecz. Jestem w tym razie zwolennikiem zasad socyalistycznych i podzielam zdanie Jean-Jacques Rousseau, który dowodzi, że każda matka powinna karmić swe dziecię. W obec macierzyństwa wszystkie kobiety są równe, jak wszyscy mężczyźni w obec prawa. Młoda kobieta powinna spłacić krajowi dług macierzyństwa, tak jak młody człowiek podatek krwi. Chowając i pielęgnując dzieci, kobieta wywdzięcza się nietylko krajowi, ale i rodzinie. Lecz jak pod sztandary wojska nie mogą zaciągać się chorzy i kalecy, tak też i niekażda kobieta zdolna jest własną piersią wykarmić dziecię. Lecz wtedy zamiast płatnej mamki, lepiej żywić dziecię mlekiem kozy lub oślicy, w tym razie jedna tylko przedstawia się niedogodność, ta, że dziecko może mieć z czasem charakter kapryśny lub uparty...

A obracając się do pana Hérault, dodał:

— Czy pan życzyłbyś sobie czego podobnego?

Ludwik zmuszony był przyznać, że zmartwiłby się tem bardzo, a nie lubiąc długich rozpraw poprzestał na zdaniu doktora. Mógł był w istocie wziąć go na bok i powiedzieć poprostu, że nie życzy sobie aby żona karmiła, że oprócz względów moralnych istnieją inne jeszcze i że poprostu byłby zazdrosny o dziecię, któremuby żona poświęcała się wyłącznie.

Nie uczynił tego jednak, a ulegając prośbom Heleny, zdaniu doktora i babci, która nie domyślała się aby z tego powodu miało zagrażać jakie niebezpieczeństwo, zgodził się wreszcie na wszystko. Był to pierwszy i może jedyny błąd Heleny w walce jaką rozpoczęła z życiem.

Pomimo prawości charakteru i trafności sądu, młoda kobieta miała zbyt mało doświadczenia i mniemała właśnie, że bardziej przywiąże męża do domowego ogniska, gdy z jej kolan małe rączyny wyciągną się ku niemu. Nie odgadła biedna, że czarem nęcącym Ludwika była tylko ona i że komnata zmieniona w pokój dziecinny nie spodoba się temu lekkomyślnemu człowiekowi, który zaledwie przez potęgę uczucia zwrócił się na właściwą drogę, lecz którego poprawa nie była może jeszcze zbyt trwałą.

Nieraz zdarza się na świecie, że ktoś chcąc uczynić dobrze, popełni coś takiego co najgorsze za sobą pociąga następstwa. Tak też stało się i z Heleną, na nieszczęście choćby nawet spostrzegła swój błąd, nie mogła się cofnąć w pół drogi. A tymczasem Ludwik mógł znowu zabrnąć w złe nałogi.

Wkrótce młoda kobieta przekonała się sama o wrażeniu jakie wywołało jej postanowienie. Pomimo, że przyszła zupełnie do zdrowia, mąż pozostał w kawalerskim apartamencie, w którym jak twierdził było mu daleko dogodniej.

— Potrzebujesz wygody i spokoju, rzekł jej czule lecz stanowczo i Helena musiała ustąpić.

Tak więc całkiem oddana dziecięciu, zamknięta w swem macierzyństwie jakby w fortecy, nie mogła myśleć o zatrzymywaniu męża w domu. Nie miała jednak powodu uskarżać się na niego, Ludwik wiódł jak najprzykładniejszy żywot. Z większą jeszcze gorliwością zajmował się interesami i prosił Lereboulley'a aby mu dopomógł do obliczenia akcyi fabryki w Saint-Denis. Lereboulley chętnie przyczynił się do jego żądania. Tak więc zdawało się, że Ludwik poprowadzi dalej przez dziadka i ojca rozpoczęte dzieło i odzyska własną pracą, to co roztrwonił przez nieoględność.

Wśród takich zajęć upłynęła wiosna i część lata a wreszcie i Sierpień się kończył. Helena, której upały niebardzo dokuczyły, dzięki dużemu i cienistemu ogrodowi, objawiła chęć przepędzenia kilku tygodni w Boissise. Ciągłe przejazdy z Evreux do Paryża byłyby może męczącemi dla Ludwika, ale w tej porze fabryka miała niewiele zamówień i właściciel mógł się na czas jakiś oddalić.

Ludwik i Helena z radością powitali urocze ustronie, które im przypomniało rozkoszne wrażenia zeszłoroczne. Cieniste szpalery, przejrzyste wody jeziora po których z powagą pływały śnieżnopióre łabędzie, wspaniałe klomby napełnione różnobarwnemi kwiatami i kamienna ławeczka gdzie zamienili słowa łączące ich na całe życie, wszystko ich zachwycało i najsłodsze budziło wspomnienia. Przechadzali się teraz we dwoje tam gdzie dawniej towarzyszyła im Emilia i błądząc po tajemniczych zaroślach zapominali o świecie całym, o wszystkiem co nie było ich szczęściem lubując się jedynie w samolubnem uczuciu.

Gdyby Helena mogła podówczas żyć życiem bardziej ziemskiem, zamiast ograniczać się w sferach miłości idealnej, byłaby może silniej przywiązała męża do siebie, bo takie węzły stają się bardziej nierozerwalnemi niż wszystkie platoniczne uczucia.

Lecz powaby Heleny, wdzięczny jej układ i niewinna zalotność nie zadawalniały młodego, namiętnego człowieka i zamiast gasić pożar, podniecały go jeszcze bardziej.

Tymczasem Lereboulley powrócił ze swej wycieczki na Wschód i objął znowu kierownictwo olbrzymich interesów. Podróż jego na „Syrenie” przeciągnęła się nieco, gdyż nie umiał opierać się kapryśnym żądaniom Dianny i jeśliby chciał być szczerym musiałby wyznać, że jak nowożytny Antoniusz nie żałował czasu przepędzonego obok uroczej Kleopatry. Po kilku dniach żeglugi Thauziat odzyskał także zwykły humor, a oblicze jego chmurne od jakiegoś czasu rozpogodziło się zupełnie. Był to znów ten sam Thauziat, olśniewający dowcipem i zaprawiający każdą rozmowę odrobiną gorzkiego zniechęcenia, które ogarnęło go od chwili gdy panna de Graville odmówiła mu swej ręki. I nic dziwnego, człowiek któremu wszystko dotąd uśmiechało się w życiu, nagle poczuł że władza jego się chwieje. Mógł się więc czuć zniechęconym i rozczarowanym. Nie wspominał nigdy o Ludwiku i Helenie i nie cierpiał gdy mówiono o nich w jego obecności. Dianna zaczęła kiedyś podżartowywać na ten temat, lecz Klemens odpowiedział jej tak ostro, że nie śmiała go już więcej zaczepiać.

Z tego wszystkiego należało wnosić, że rana krwawiąca się w sercu Klemensa nie zagoiła się bynajmniej i że kiedyś boleść i miłość zakołaczą gwałtowniej do jego piersi. Pani Olifaunt marzyła o tem często i w głębi duszy układała zamiary błogiej zemsty, którą chciała wywrzeć bez miłosierdzia na Ludwiku, co nią w tak okrutny sposób pogardził i na Helenie za to że była uczciwą, szczęśliwą i dumną.

Piękna Angielka siedząc pod namiotem na przodzie okrętu, wsparta na stosie poduszek, błądziła wzrokiem po błękicie niebios i zielonawych falach wody, ciesząc się w duchu srogiemi marzeniami, podczas gdy Lereboulley grał w bezika z sir Jamesem zapijając co chwila grog, a Thauziat dla rozrywki strzelał do mew latających w pobliżu okrętu.

Podróż do Smyrny upłynęła im bardzo przyjemnie, zwiedzili Jeruzalem i całą Ziemię Świętą, zatrzymali się w Złocistym Rogu podziwiając uroczy widok Konstantynopola. Przepłynęli archipelag wysp greckich i dotarli do Aten, gdzie rozczarowali się bardzo, ujrzawszy zamiast spodziewanych cudów lichą i brudną mieścinę. W ogóle Grecya, której piękność wysławiają poeci a którą każdy wyobraża sobie piękną i wspaniałą, jest w rzeczywistości wcale nieosobliwym krajem, lasy w niej to krzaki, rzeki wyglądają na strumienie, a miasta mają pozór wsi.

— Grecya istnieje widać tylko w literaturze klasycznej — rzekł Thauziat.—Doprawdy gotów jestem mniemać, że to kraj fantastyczny, istniejący tylko w wyobraźni poetów i że nie należy go szukać w południowo-wschodniej stronie Europy

lecz w dziełach Homera, Sofoklesa, Arystofanesa, Tucydydesa i Herodota. Historya Grecyi to urocze zjawisko strojne w nieśmiertelne wspomnienia, które powinno się otaczać poszanowaniem i nie uchylać tajemniczej zasłony jaką wieki przesłoniły przed naszemi oczyma. Zdarłszy ułudę przekonywamy się, że pozostał tylko straszny, obydny szkielet, po cóż więc dobrowolnie narażać się na rozczarowanie. Wasz Byron był szaleńcem, sir James, szaleńcem albo niezmiernie dumnym człowiekiem, który chciał się przekonać o władzy, jaką wywierał na umysły współczesnych, usiłując wmówić w nich, że trup jeszcze żyje... To też Byron zmarł wkrótce i to było jego karą.

Sir James podniósł wzrok od kart i rzekł:

— Byron był nieporównanym poetą: kazał sobie płacić po gwinei od wiersza swych utworów.

— Znakomicie powiedziane sir Olifaunt! — zawołał Thauziat. — Pan zawsze jesteś poetycznym, Lereboulley, uważaj mój przyjacielu i zapisz sześćdziesiąt na damę. Sir James jest uprzejmy: ustępuje ci zawsze damy!

Tak się zabawiając, podróżni nasi przypłynęli do Marsylii a ztamtąd udali się do Paryża. Było to w miesiącu Maju i Helena w całej pełni cieszyła się szczęściem swojem.

Lereboulley wrzucił kilka kartek do urn wyborczych w senacie, przemawiał na zgromadzeniach gdzie miał dosyć wpływu, popchnął interesa, które z powodu jego nieobecności uległy pewnej stagnacyi i w kilka tygodni na szczęśliwych obrotach giełdowych odzyskał pieniądze jakie wyłożył na kupno Syreny.

Co do Thauziat, ten nigdy chyba nie był świetniejszym i bardziej pożądanym w towarzystwach, jak przez te parę tygodni jakie upłynęły od jego powrotu do Francyi. Wszyscy o nim tylko mówili, wszyscy się nim zajmowali, wszędzie było go pełno, można było mniemać, że jakiś zły duch go opanował i podniecał do najszaleńszych czynów. Najprzód wplątał się w jakąś głośną awanturkę z żoną barona Oppergera, bogatego niemieckiego bankiera, który miał jakieś nie zbyt przyjemne zatargi z policyą poprawczą lecz wcale tego nie brał do serca. Dziennikarze pochwyciwszy ciekawą przygodę powtórzyli ją w gazetach ze szczegółami, następstwem tego artykułu było, iż Klemens wyzwał na pojedynek dwóch kronikarzy odznaczających się najjadowitszemi języczkami i ranił niebezpiecznie obydwóch. Po tem zwycięztwie grał w klubie całą noc i wygrał w faraona sto czterdzieści tysięcy franków, które nazajutrz rozdzielił pomiędzy dobroczynne zakłady.

Następnie wygrał olbrzymią nagrodę na wyścigach w Auteuil i przez miesiąc był bożyszczem świata. Właśnie w chwili największego powodzenia Lereboulley, potrzebując się z nim naradzić w jakiejś ważnej sprawie a nie mogąc się go doczekać, wpadł wieczorem niespodziewanie do jego pałacyku. Powstrzymał kamerdynera chcącego oznajmić jego przybycie i skierował się wprost do gabinetu Klemensa.

Można sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy zastał przyjaciela leżącego na kanapie i tonącego we łzach. Wprawdzie Klemens zerwał się na równe nogi i usiłował żartobliwą mową zatrzeć wrażenie wywołane widokiem swego rozdrażnienia, lecz senator nie dał się zbyć byle czem i usiłował skłonić Thauziata do wyznania co było powodem jego smutku. Lecz Thauziat udał, że nie rozumie jego pytań, rozmawiał i żartował swobodnie z Lereboulleyem i wreszcie zwrócił rozmowę na interes sprowadzający senatora do niego i dostarczył mu wszelkich żądanych objaśnień.

Czas jakiś Klemens żył jeszcze tem życiem gorączkowem, poczem zamknął się w domu zły i niezadowolony z całego świata. Ogarnęło go takie zniechęcenie, że nietylko widoku ludzi ale nawet światła w pokojach znieść nie mógł. Nareszcie uspokoił się nieco i gdy Lereboulley postanowił jechać na kilka tygodni do Evreux, Thauziat przyjął gościnne jego zaproszenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Tegoczesne lato ciągle odznacza się wybrykami, dotąd prawie nigdy niepraktykowanemi.—Gazety w tych dniach doniosły, ze królowa włoska Małgorzata, bawiąca obecnie na wilegiaturze w Coumayeur, przedsięwzięła w ubiegłym tygodniu jednego dnia po południu wycieczkę do Col du Grant, gdzie została zaskoczona przez burzę śnieżną, tak, iż powrót do miasteczka stał się niemożliwy.

Monarchini więc z orszakiem musiała przenocować w ubogiéj chatce węglarza.

Jezioro Muttsee w kantonie Glarus (2442 metrów nad powierzchnią morza) zamarzło zupełnie i pokryte jest taką grubą powłoką lodu, że można po niej chodzić bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

Z Tyrolu znów i Karyntyi donoszą, że wszędzie tam spadły tak obfite śniegi, a temperatura oziębiła się tak znacznie, iż wszyscy goście, przebywający w miejscowościach kuracyjnych i klimatycznych, co prędzej zabierają się do odwrotu. Codziennie widać szeregi osób otulonych w pledy i szale, drżących z zimna i dążących na dworce kolejowe, ku wielkiej rozpaczy właścicieli willi i hotelów, którym słotne tegoroczne lato srodze dało się we znaki.

Pielgrzymi, którzy przed kilkoma dniami wyruszyli z Warszawy na odpust Narodzenia N. M. Panny do Częstochowy, od samego m. Tarczyna narażani byli na niemiłe niespodzianki. Były niemi kałuże błotniste, posiadające obwodu po kilkadziesiąt sążni, w których brnąć musieli wyżej niż po kostki. Na drodze do Grójca w trzech miejscach wody dochodziły blisko stopy wysokości na drogach, i stopę przeszło na polach i łąkach. Pątnicy z tego powodu z małemi wyjątkami zmuszeni są chodzić boso. Pomimo tego nie ma wioski, iżby się do kompanii warszawskiej nie przyłączało po kilku i kilkunastu kmiotków. Wielka słota spotkała kompanię we wsi Wielka-Wola i towarzyszyła jej aż do Przedborza. Stan sanitarny całej kompanii nie jest bardzo pomyślny: słabych kobiet posiada kompania 38, które poumieszczano na wozach, towarzyszących kompanii. Prócz tego kompania prowadzi ze sobą 26 kalek, 8-iu sparaliżowanych, 6 osób cierpiących umysłowo, 3 ciągnione na wózkach, wreszcie niejaką Agnieszkę D., służącę, która jakoby była opętaną przez dyabła.

Piękny przykład wzajemnej pomocy i solidarności obywatelskiej dał pow. Jaworowski w Galicyi Wschodniej. Niedawno jednemu z obywateli tamtejszych, który bez własnej winy popadł w ciężkie kłopoty finansowe, sprzedano majątek z młotka. Dobra te Rogożno nabył galicyjski Bank Kredytowy. Nie chcąc dać upaść zacnemu ziemianinowi, liczne grono współobywateli z powiatu i mieszczan z Jaworowa, zebrało się dnia 7-go b. m. w sali rady powiatowej jaworowskiej i po obszerniejszych rozprawach, zacną myślą pomocy ożywionych, przystąpiło do ukonstytuowania komitetu ratunkowego, w którego skład weszli: pp. Adam Łucki prezes rady powiatowej, Jan Konopka właściciel dóbr, ks. Julian Turzański, proboszcz miejscowy, wreszcie Grzegorz Szczyrba mieszczanin jaworowski, dyrektor kasy zaliczkowej. Komitet starać się będzie o uzyskanie funduszów potrzebnych na odkupienie dóbr Rogożno od Banku. Dobra będą pod pewnemi warunkami oddane dawnemu właścicielowi, któremu w ten sposób daną będzie możność, iżby z czasem przy pomyślnych okolicznościach przyszedł do zupełnego odzyskania swej dawnej własności.

Fabryka serów. Jak donosi *Gazeta Kielecka*, otwarto fabrykacyę serów na sposób zagraniczny w dobrach Kruszyna, w pow. Noworadomskim gub. Piotrkowskiej, pod nazwą: „Krajowa spółka serownia Kruszyna Borowno." Odpadki z przetworów mlecznych służą za karm nierogaciczny opasowej. Założyciele początkowo przerabiają jedynie mleko z własnych obór, mają jednak zamiar w przyszłości nabywać mleko do serowni także od sąsiadów, podobnie jak to praktykuje się powszechnie w Bawaryi i Szwajcaryi. Sery wyrabiane, które dopiero za kilka miesięcy ukażą się w handlu, noszą nazwy właściwe zagraniczne: „Romadour," „Kühbach," „Schwarzenberg," dalej półementhalskie i ementhalskie i t. p., dotąd wyłącznie z zagranicy sprowadzane.

Donoszą z Kijowa, iż w sali Towarzystwa Kredytowego, generał Kirejew, pod nieobecność bawiącego w Kijowie hr. Ignatiewa, zagaił posiedzenie słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności. Najdłużej przemawiał znany już wam, z poprzedniej o nim wzmianki, dr. Zywnyj — i gromkie pozyskał oklaski. „Słowianie przyszli już, mówił on między innemi, do przekonania, że najbardziej upragnionym ideałem winno być duchowe połączenie, którego nie oddadzą za żadne polityczne mrzonki. Przed lat tysiącem słowiańscy apostołowie zjednoczyli nas wiarą, językiem i pismem, a wielki książę kijowski zjednoczenie owo oparł na niewzruszonych podwalinach. Cóż w obec duchowego zlania się po politycznem połączeniu, skoro w każdem państwie i ogólna służba wojskowa i płacenie podatków nie są jednakowe? Dalej, takie polityczne zmassowanie się musiałyby poprzedzić rewolucyjne wstrząśnienia — a one tak są wstrętne dla nawskroś lojalnych Słowian. Pozostaje więc ideał cywilizacyjny jednolitego typu: z jedną wiarą, jedną kulturą, jednym językiem.

Koło uniwersyteckie w Zurychu znalazło się niedawno w wielkim kłopocie. Oto — pewien doktor prawa rodzaju żeńskiego, wystąpił do władzy z podaniem o dopuszczenie go do habilitowania się *pro veniam legendi* na wydziale prawa. Doktorem tym jest pani Emilia Kempin, która przed kilku laty, złożywszy w uniwersytecie egzamin ze stopniem *magna cum laude*, otrzymała dyplom doktora *utriusque juris*. Ponieważ obowiązujące w Zurich ustawy, w których wypadek podobny nie

był przewidziany, tłomaczono w ten sposób, że kobiety nie mają prawa stawania w sądach, przeto pani Kempin musiała poprzestać na udzielaniu prywatnie porad prawnych; i wkrótce jednak znalazła bardzo korzystną posadę w biurze jednego z najwięcej znanych adwokatów, który jest zarazem profesorem uniwersytetu. Przed parą miesiącami docent prywatny, dr. Wachter, przenosząc się na posadę sędziego do innej miejscowości, prosił panią Kempin, by objęła zapowiedziane przez niego wykłady: „Pandecta i prawo rzeczowe." Pani Kempin zwróciła się zatem do dyrekcyi edukacyjnej z prośbą o udzielenie jej audytoryum w uniwersytecie; dyrekcya odesłała prośbę jej do fakultetu. Przyjaciele doradzili jednak pani Kempin, by prośbę swą cofnęła, mogłaby ona bowiem wywołać trudność co do udzielenia jej *veniam legendi*, o którą wniosła prośbę poprzednio. „Uczona" kobieta usłuchała przyjaciół i rozpoczęła wykładać w sali prywatnej. Posiada sześciu słuchaczy, którzy na wykłady pani profesorki uczęszczają bardzo pilnie. Mimo to wszystko jednak zabiegi pani K. o docenturę przy uniwersytecie pozostały bez skutku. Dzienniki zurychskie donoszą, że żadne posiedzenie senatu akademickiego w Zurychu nie było tak ożywionem, jak w dniu 1 Czerwca, kiedy rozprawiano nad kwestyą, czy kobiecie można pozwolić się habilitować, czy nie. Z pośród obecnych profesorów siedmiu oświadczyło się za uwzględnieniem prośby pani Kempin, 21 przeciw.

Do tych ostatnich należeli przeważnie profesorowie wydziału filozoficznego, do pierwszych — ci na których wykłady p. K. niegdyś uczęszczała. Prośbę tedy pani K. pozostawiono bez skutku, motywując odmowę względami „użyteczności." Władza edukacyjna zatwierdziła uchwałę senatu.

Środek na zaprószenie oka. Pewien lekarz amerykański nauczył się od maszynisty kolejowego bardzo prostego środka na zaprószenie oka. Skuteczności jego doświadczył sam na sobie, kiedy bowiem w czasie jazdy na machinie kolejowej wpadło mu w oko ziarnko popiołu, maszynista kazał mu nacierać nie oko, w które wpadł popiół, ale drugie. W czasie nacierania powiek tegoż oka, popiół przesuwał się w drugiem do kącika przy nosie, tak, że można go było wygodnie za pomocą chustki wydobyć. Lekarz amerykański środka tego używał w różnych okolicznościach bardzo często, a zawsze szczęśliwie. Receptę tę powtarzamy na wiarę lekarza amerykańskiego, nie mieliśmy bowiem sposobności jej wypróbować. Próba ta jednak w danym razie nie nastręcza żadnych trudności, ani też nie naraża na niebezpieczeństwo, można więc jej łatwo dokonać.

Polscy wieśniacy w Ameryce. Jedna z amerykańskich polskich gazet donosi, że przed trzema miesiącami wylądował w Castle Garden nowoyorskim wieśniak polski z żoną i przyjął służbę u jakiegoś farmera, który mu obiecał płacić miesięcznie 10 dol., żonie zaś 8 dol.

Musieli poprzednio podpisać kontrakt, który nibyto miał być ważny na kwartał i w którym było wyrażone, że z zarobku odciągnięta będzie suma, jaką farmer wydał na żywność dla naszego ziomka i jego żony.

Niewypełnienie warunków, jakie kontrakt zawierał, miało za sobą pociągnąć utratę całkowitego zarobku.

Farmer po kwartale tak ich za ciężką pracę skwitował, że dał im 3 dol., i bez powodu kazał gdzieindziej poszukać zatrudnienia.

O żebranym chlebie wlekli się biedacy, aż nareszcie sprawę przedstawili policyi.

Policya zaczęła badać i wykryła, że w New-Yorku istnieje agentura jakiegoś Parsona, który od farmerów amerykańskich otrzymuje 10 dol., za każdego wędrowca, a pieniądze te potem farmer odtrąca swym robotnikom z zarobku.

W taki sposób agent zarabia wielkie sumy na dostarczaniu farmerom sił do pracy.

Dotychczas agentura Parsona dostawiła farmerom 7,000 wędrowców, których potem odarto w najniemiłosierniejszy sposób z zarobku.

Wykryto przytem, że jeden wędrowiec przez całe pięć lat pracował ciężko za darmo, dlatego, że wmówiono w niego, że prawo amerykańskie bardzo ostro karze robotników, dopominających się płacy.

Do tego przyczynia się, że nasi ziomkowie, wybierając się za morze, nie znają języka angielskiego i zanim się go nauczą, wpadają z jednych niesumiennych rąk w drugie, tak, że zupełnie się fizycznie osłabią i wyniszczą.

Potem już coraz trudniej o zarobek, bo tam tylko silnych ludzi potrzebują.

Najnowszy powód do rozwodu. Słynna w Paryżu z urody pani Celina Montrouge, zasłyszawszy o konkursie piękności, jaki ma się odbyć w Spa, oznajmiła mężowi swemu, iż zamierza, sprawić sobie odpowiednie tualety i pojechać na konkurs. Panu Montrouge pomysł ten urodziwej małżonki bynajmniej nie przypadł do gustu; oświadczył jej, że uczciwa kobieta powinna zadowolić się tem, iż się podoba mężowi, i, chcąc zapobiedz jej wyjazdowi, zamknął ją w mieszkaniu. Pani Montrouge wszakże przekupiła pokojówkę i tego samego wieczora jeszcze wyjechała do Spa. Mąż, dowiedziawszy się o jej ucieczce, wniósł skargę o rozwód i oświadczył, iż, choćby otrzymała pierwszą nagrodę, próżna żona jego nie przestąpi małżeńskiego progu.

W sejmie galicyjskim.

— Żonko kochana, jutro na posiedzeniu będę miał wielką mowę.

— Ah! to mnie niewymownie cieszy, ja już dawno tym niegodziwym demokratom życzyłam jakiego nieszczęścia.

* * *

Frant na franta. „Tägliche Rundschau" przypomina w sezonie ogórkowym dawny figel pewnego sportsmana angielskiego. Przybyli do niego na dni kilka dwaj młodzi przyjaciele, należący do wyższych sfer londyńskich. Aby gości swych zabawić, sportsman ów, lord P., zaprosił sąsiada, p. M. na obiad, a na bilecie zapraszającym dodał, by wziął ze sobą trochę więcej pieniędzy niż za zwyczaj. Pan M. znał lorda jako figlarza, a że sam lubił figle płatać, domyślił się zaraz, że chodzi tu o coś niezwykłego, zjawił się więc w zamku lorda o oznaczonej godzinie zdecydowany na wszystko. Goście zasiedli do stołu. Po pierwszym toaście lord zadzwonił w kieliszek i zawołał:

— Wszystkie kapelusze w ogień, albo dwieście franków na stół!

Cztery kapelusze znalazły się w płomieniach. Po drugim toaście powstał drugi gość, nie chcąc pozostać w tyle po za gospodarzem i zawołał:

— Wszystkie tużurki w ogień, albo tysiąc franków kary.

I znów tużurki czterech biesiadników poleciały w piec.

— Buty w piec, albo pięć tysięcy kary — zawołał trzeci gość, pewny, że chyba nie wszyscy zechcą zostać boso. Zawiódł się jednak, zanim bowiem skończył, a już każdy zdejmował obuwie.

Teraz przyszła kolej na pana M. Gospodarz sądził, że ten nie zdobędzie się chyba na coś lepszego od poprzedników, ale pan M. nie namyślając się długo, spojrzał na swych towarzyszy i zawołał:

— Zęby w ogień, albo dziesięć tysięcy franków.

To powiedziawszy, wyjął sztuczną szczękę z ust i wrzucił w piec. Współbiesiadnicy zdumieli, żaden z nich bowiem nie mógł go naśladować. Pan M. zgarnął spokojnie 30 tysięcy franków i podziękował gospodarzowi za wyborny obiad i zabawę, a nazajutrz kupił sobie nową szczękę.

* * *

Manifest amerykańskiego dziennika. W piśmie „Arizona Kicker", wychodzącem w Stanach Zjednoczonych, znajdujemy następujący artykuł od redakcyi:

„Nie można zaprzeczyć, że pewne warstwy naszego społeczeństwa od niejakiego czasu wysilają się rozpaczliwie na ignorowanie bytu „Kickera". Zwietrzyliśmy to, najprzód wówczas, kiedy sędzia Gildersleeve zapowiadał pierwszy wieczór towarzyski w swym domu. Przy tej sposobności oprócz zwykłego zaproszenia otrzymaliśmy kartę treści następującej: „Spodziewam się, że wszyscy gentlemani będą w czystych koszulach." Obraza, wyrządzona tem naszemu pismu, jest tak przezroczysta, jak herbata państwa Gildersleevesów. Sądzili zapewne, że nie posiadamy białych koszul; sądzili, że przyjdziemy do nich w derkach na około ramion owiniętych tak, jak gdybyśmy szli tylko na zgromadzenie polityczne. Celem karty owej było zatem okazanie, że wydawcy „Kickera" nie uważają za człowieka, który potrafi obracać się także i w wielkim świecie. A więc, *all rigt!* Rzecz naturalna, że zaproszenia owego nie przyjęliśmy, ale za to nazajutrz zamieściliśmy notatkę pod tytułem „Zbiorowisko jastrzębi", w artykule tym dowiedliśmy, że sędzia Gildersleeve jest niebezpiecznym złodziejem koni i tak samo pozytywnie stwierdziliśmy, że mr. Gildersleeve siedział w więzieniu, co jeszcze dziś może każdy poznać po jego krótko, jak u więźniów ostrzyżonych włosach. Nazajutrz rano sędzia zjawił się w naszej drukarni z rewolwerem w ręku i groził strzelaniem; kiedy jednak przekonaliśmy go, że istotnie kradł konie i że siedział w kozie, zawstydził się i nie strzelił. Rozszerzana przez niego pogłoska, jakoby redaktor schował się pod kasztę, jest oszczerstwem. Oprócz sędziego także i inni obywatele próbowali nas ignorować a to z powodów, które tu zaraz przytoczymy. Pani profesorowa Fortingowa kazała bardzo starą suknię jedwabną przerobić i udawała następnie przed światem, że kupiła sobie nową suknię za 500 dolarów. Obecnie gniewa się na nas za to, że fakt powyższy opisaliśmy w całej nagości. Miss Lily, ruda córka doktora Azela z jedną nogą, śpiewała w pewnem towarzystwie jak ochrypły koń i tak też donieśliśmy o tem, zamiast napisać, że śpiew jej porównać można tylko z pieniami słowika — i za to rodzina jej postanowiła nas ignorować. Pana szeryfa odwiedził kandydat z Ohio, dwóch skazańców z Illinois i morderca uwolniony dla braku dowo-

dów, co też podaliśmy do wiadomości publicznej wedle naszego przekonania; podczas gdy pan szeryf usiłował wmówić w nas, że goście jego są urzędnikami z Waszyngtonu. Ale dewizą naszą jest: cześć prawdzie; nie damy się zbić z drogi, chociażby całe społeczeństwo w Jackass Hill przeciw nam się sprzysięgło." Odważna redakcya!

* * *

— Co to jest filozofia? — pyta młoda i ładna panienka, siedzącego obok niej młodego tylko co upatentowanego doktora filozofii.

— Filozofia — odpowiada młodzieniec — jest to... jest to siedzieć przy pani, patrzeć jej w oczy, rozmawiać i nie stracić głowy.

* * *

— Podobno żenisz się?

— Mam zamiar nieodmienny.

— Czy z panną X.

— Radbym.

— A kochasz ją?

— Czy to prawda, że ojciec jej posiada w Sandomierskiem trzy folwarki prześlicznie zagospodarowane?

— A jakże i dwa w Ożarowskiem.

— Jakże więc możesz się pytać z powątpiewaniem o mej dla panny miłości.

RÓŻNE MYŚLI.

Wszelka praca dla dobra ludzkości jest bezpożyteczna, jeżeli nie ma za podstawę miłości ojczyzny.

Boiste.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

„BĄK." Pod tą nazwą ukazał się po raz pierwszy kalendarzyk humorystyczny i, dodajmy zaraz, przedstawił się bardzo korzystnie. Niebrak tu niczego: są rady i wskazówki praktyczne na każdą porę roku, i powieść obyczajowa, i sprawozdanie ekonomiczne, literackie i t. d., i życiorysy znakomitych ludzi. Humoru tu dużo, humoru zdrowego, bez pieprznej przyprawy, a przytem nie pozbawionego głębszej myśli. „Bąka" zdobią liczne rysunki Kostrzewskiego, Mucharskiego, Czernickiego i Sandeckiego, wśród których prym, jak zwykle, trzyma dzielny ołówek Kostrzewskiego. Nakład St. Sadowskiego. Cena 20 kop.

W piwnicznej izbie, wiersz przez Maryą Konopnicką. Wydawnictwo na korzyść kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci. Główna sprzedaż w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Podręcznik ułatwiający pisanie ćwiczeń, ułożyła Józefa Kamocka b. nauczycielka gimnazyum rządowego i wyższych zakładów naukowych w Warszawie. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Nauka przed sądem życia, przez W. Chicińską.

Dwa dni w podróży, opowiadanie dla dzieci przez Stefana Gębarskiego, odznaczona na konkursie Przeglądu Pedagogicznego, w dniu 23 Październik 1887 r.

O wzruszeniach umysłu (affektach). Studyum psycho fizyologiczne, napisał prof. d-r C. Lange, podał doktor A. Rosenthal. Wydawnictwo Medycyny.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki wyszły następujące książki:

Czy się wyradzamy? Stan sił fizycznych i zdrowia ludności Galicyi i Królestwa Polskiego w porównaniu z innymi krajami wschodnio i zachodnio europejskiemi, skreślony na podstawie cyfr poboru wojskowego, przez Wł. Wścieklicę.

Nauka pięknego pisania (kaligrafii), wskazówki dla nauczycieli i uczniów, przez Piotra Szrettera.

Dwie powieści Michała Jezierskiego. Stryj z Ameryki powieść i **Klemens Janicki** opowiadanie historyczne.

Listy do przyszłej narzeczonej, przez Juliana Mohorta. Wydanie trzecie.

Sztuka zdobywania pieniędzy czyli rady i wskazówki dla chcących wiedzieć jak zrobić majątek. Wolny przekład z angielskiego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Helenie Czarneckiej. Żurnali mód wyłącznie dla malutkich dzieci, nie wiemy czy gdzie wychodzą. Tygodnik Mód odpowiednie wzory pomieszcza w tablicach z drzeworytami co zupełnie jest wystarczającem. W magazynach jednak można dostać gotowych wyprawek dla dzieci oznaczonego wieku i to w różnej cenie, nawet do kilkuset rubli dochodzącej.

ZAWIADOMIENIA.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 37 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z botaniki.—Mieszczanin serbski (drzeworyt). — Rodzinna wioska (wiersz). — Zawcześnie kwiatku, zawcześnie (komedyjka). — Joanna d'Arc. — Ichneumon egipski (z drzeworytem). — Saint-Malo (z drzeworytem). — Wydziedziczone. Dodatek: Gołąbeczek Elżbietki (z drzeworytem). Paluszek w buzi (wiersz). — Józia. — Ze swawoli (wiersz). — Z prawdziwych wydarzeń. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 2 Сентября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.